

— Prawdziwa szkoda! — mruknąłem. — A czy przynajmniej ten pan zapamiętał, jak wyglądała owa osobistość?

— Każę go zawołać, jeśli pan chce z nim pomówić.

Wkrótce ukazał się elegancki, jasnowłosy młodzieniec. Temu na szczęście, choć nie dopisała przytomność umysłu, nie brakło dobrej pamięci.

— On raczej wyglądał na służącego — odpowiedział, gdy go zapytałem o wygląd podejrzanego klienta.

— Czy był wysoki?

— Tak, dobrego wzrostu i silnie zbudowany.

— Młody?

— Mógł mieć lat ze trzydzieści.

— Blondyn?

— Raczej rudy.

— Czy miał jakie szczególniejsze cechy w wyglądzie swoim?

— Owszem; oczy szeroko rozsadzone, co mu nadawało wyraz trochę głupawy.

Był to wyraźny rysopis Stanga. Nie omyliłem się więc; ten szofer był istotnie mordercą, a co najmniej współnikiem morderców pana Hugona Chancera.

Dowiedziałem się jeszcze kilku szczegółów; mianowicie, że okaziciel obligacji miał na sobie granatowe ubranie i szary kapelusz, a w ręku trzymał laseczkę trzcinową i żółte, nie rozwinięte rękawiczki.

— I cóż on zrobił, gdy pan mu oświadczył, że obligacja ta obłożona jest zastrzeżeniem?

— Nic... wydał się zdumiony, a potem porwał laseczkę i rękawiczki, które tymczasem odłożył i uciekł, jak złodziej... zanim jeszcze zdążyłem kazać drzwi pozamykać.

Podziękowałem dyrektorowi, poradziłem po ojcowsku młodzieńcowi, by na inny raz decydował się prędzej i wyszedłem. W gruncie byłem bardzo rad. Dzięki niedoświadczeniu młodego urzędnika, Stang pozostawał dla mnie. Nie dostał się w ręce urzędowej policji. Tak, ale co będzie teraz? czyż po tej przygodzie wróci on do willi Crawford?... Wsiadłem natychmiast do pociągu, odchodzącego do Broad West; noc już zapadała, gdy stanąłem na miejscu.

— O tej godzinie — pomyślałem — Stang albo jest w domu dla przyjęcia swego pana, albo już wcale nie wróci.

Udałem się szybko do małego lasku, w którym już raz się przebiebrałem, wysmarowałem sobie znowu twarz ową brzydką maścią i skierowałem się ku willi Crawford. Żadne światło nie świeciło w oknach willi; jedynie tylko słaby blask, podobny do poświaty księżyca, przenikał przez lukrowe okna galeryi pierwszego piętra. Dotarłem do bocznej furtki od strony zabudowań gospodarskich i pociągnąłem za dzwonek.

— Stang! — wołałem równocześnie, przeciągając przez nos — Stang, czy jesteś tam?

Nie otrzymując żadnej odpowiedzi, zadzwoniłem ponownie, ale tym razem silniej. Wkońcu kroki czyjeś skrzypnęły na piasku i światło latarki zabłysło w alei.

— Czy to ty, Stang? — zapytał głos kobiecy. Poznałem biały fartuszek Betsy.

— Tak... proszę mi otworzyć.

Pokojówka cofnęła się na mój widok.

— Ależ to nie... — wyjąkała.

— Przepraszam — broniłem się — przepraszam, miss Betsy, ja jestem Ralf Stang, kuzyn Johna...

Dziewczyna poznała mnie odrazu.

— Ach tak, rozumiem — rzekła — poszłiscie razem oblewać wasze spotkanie i Stang w tej chwili uży zapewne, pijany jak bela, gdzieś w jakimś zaułku miasta...

— Jaki? — zadziwiłem się niby — to jeszcze go tu niema?

— Nie, napewno niema go... więc pan nie był z nim razem?

— Ależ nie... ja cały dzień strawiłem na poszukiwaniach za służbą w którymś z domów okolicznych...

Betsy była w bardzo złym humorze, nie tyle przeciw mnie, ile przeciw niedelikatnemu szoferowi, który tak nadużywał jej koleżeńskiej uprzejmości.

— I znowu wróci pijany, jak bydle... — mruknęła — a tu pan Crawford wróci lada chwila... Byle go tylko nie spotkał!

Czuło się pomimo wszystko, że ma w gruncie rzeczy sympatyę dla tego rosnącego draba. Wreszcie otworzyła furtkę, mówiąc:

— No wejdźże pan... nie mogę pana przecież zostawić na drodze... Ale wszystko jedno... Stang doprawdy za wiele sobie pozwala... Niech pan prędko idzie na górę i kładzie się spać... a przede wszystkim, gdyby pan Crawford wołał, proszę nie odpowiadać... niech się pan ukryje w razie potrzeby... Coby on powiedział, gdyby wiedział, że wpuszcza się tu obcego człowieka podczas jego nieobecności?...

Podziękowałem Betsy i szybko poszedłem do pokoju Stanga. Zaledwie się tam znalazłem, zapaliłem kawałek świeczki, leżącej na nocnym stoliku mojego rzekomego kuzyna i podszedłem do rzędu



Przepraszam, miss Betsy, ja jestem Ralf Stang.

obuwia pod ścianą. Obejrzałem obydwie stojące tam pary; żadna nie była podzelowana. Oczywiście więc było, że buty, których ślady znalazłem w ogrodzie, na miejscu zbrodni, były to te, które ten nędznik miał dzisiaj na nogach. Zresztą, pomimo że zlustrowałem wszystkie rzeczy w pokoju Stanga, nie znalazłem nic ciekawego.

Już zamierzałem pójść, po namyśle jednak postanowiłem jeszcze poczekać, w nadziei, że może mój morderca wróci. Siadłem tedy na jego łóżku i zacząłem rozmyślać, obracając w głowie najrozmaitsze pomysły, gdy nagle skrzypnięcie drzwi przywołało mnie do rzeczywistości. To Stang powracał... pijany, jak bydle... mało powiedzieć, pijany, jak stado bydła!... Potknął się na schodach i zaklął straszliwie. Zgasilem świecę. Za chwilę wszedł do pokoju, omackiem poszukał łóżka i rzucał się na nie. Wtedy błysła mi nagle myśl: czy korzystając z tego rozstroju fizycznego i umysłowego, nie mógłbym wyciągnąć wyznań z tego nieprzytomnego? Zbliżyłem się więc do pijanicy i głosem grobowym rzekłem:

— Stang, wszystko się wydało... ratuj przyjaciół... ratuj tych, którzy wzięli resztę papierów... powiedz mi, jak się nazywają, a pobiegnę ich uprzedzić...

Stang poruszył się i zaczął bąkać, staczając się na podłogę:

— Papierzy!... papierzy!... Ach, to ten mały blondyn z banku wygadał się... Ja nie jestem złodziejem... nie... nie... przysięgam panu... oto jest ten papier... Ach, co za nieszczęście! oni go zatrzymali... ale ja go od... dam... ja to pa... nu przy... rze... kam!...

I zaczął wyć w sposób straszliwy.

— No cóż, powiesz? — zacząłem znowu swoje. — Skąd masz te papiery? Czy to ty zabiłeś pana Chancera?

— Pan Chancer... pan Chancer! — powtarzał za mną zachrypłym głosem.

W tej chwili weszła Betsy z lichtarzem w ręku, przywabiona tym hałasem.

— Niech mi panna pomoże położyć tego biednego Johna — zwróciłem się do niej — wódka go trochę rozmarzyła.

Mrusząc pod nosem pomogła mi ułożyć go na łóżku. Szybko teraz zdjąłem mu buciki i podczas gdy ona odwróciła się plecami, wsunąłem jeden z nich do kieszeni mego paltota.

— Nie wie o świecie! — mruknęła Betsy. — Do czego to podobne!

— Hm... jutro nie będzie ani znaku... A teraz panno Betsy, ja sobie pójdę... niech lepiej ten biedny John zostanie sam...

Skinęła mi głowę i odprowadziwszy na dół, starannie furtkę zamknęła za mną.

Mój złodziej tedy zamknięty był w pułapce. Teraz tylko już należało nie pozwolić mu uciec. Odszukałem policyjanta Mac Phersona i dawszy mu od siebie dwa funty, umieściłem go na wzgórkach w pobliżu willi na straż.

IX.

Nazajutrz rano mój Jim razem ze śniadaniem przyniósł mi telegram. — Była to odpowiedź nowojorskiej agencji Pinkertona: „Stang (John, Jerzy, Edward) lat trzydzieści dwa, pełniący zawód szofera przy automobilach, obecnie w Broad-West (Nowa Południowa Walia). Pełnił w Brisbane i w Adelaide służbę stróża garażu od 1902 do 1903. Skazany w 1903 r. w Adelaide na dwa lata więzienia za przywłaszczenie sobie ruchomości na szkodę Towarzystwa“.

— Ot, domyślałem się — rzekłem — złoczyńca niskiej inteligencji, nieuczciwy sługa, karany, alkoholik, brutalny i tchórz... skończy na szubienicy...

Już mnie teraz Stang dużo mniej interesował... pragnęłam odkryć jego współników. Ale jak dotrzeć aż do nich?

Zaareztować Stanga i starać się wydrzeć mu ich imiona? Na tyle był podłym, że mógł ich wydać.

(Ciąg dalszy nastąpi).

